kulturaupodstaw.pl

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO

Od Ceglorza do Auli UAM

Zanim nastąpiła oficjalna inauguracja działalności nowej i istniejącej nieprzerwanie do dziś Filharmonii Poznańskiej, pierwszy powojenny, duży koncert symfoniczny odbył się 28 grudnia 1946 roku w hali produkcyjnej Zakładów Cegielskiego. Wydarzenie odbiło się głośnym echem w prasie, dzięki czemu wiemy, że koncertu wysłuchało dwa tysiące osób.

„O publiczności poznańskiej mówią ogólnie, że muzykalna nie jest i doniosłości sztuki, a w szczególności muzyki nieświadoma (...) Życie muzyczne przez Niemców tworzone w Poznaniu nie ogarniało społeczeństwa polskiego i istniało jedynie dla Niemców. Nie można się zatem dziwić pewnym objawom zupełnej chociażby nawet nieświadomości na polu muzyki i trzeba je przyjmować z wyrozumiałością." Przytoczone słowa pochodzą z recenzji warszawskiego dziennikarza „Gazety Muzycznej" Stanisława Niewiadomskiego, który tyleż kąśliwe, co zabawne i nieprawdziwe uwagi zanotował w roku 1919, tuż po premierze „Halki" Stanisława Moniuszki. Kiedy spojrzymy w przeszłość, ujrzymy obraz zupełnie odmienny i jeśli ktoś był „nieświadomy" to raczej Niewiadomski, a nie poznaniacy. Historię kultury muzycznej w Poznaniu liczymy bowiem w stuleciach, a jedne z pierwszych przesłanek sięgają XIII wieku.

Koniec wieku XIX przyniósł nową modę budowania sal muzycznych, służących spotkaniom orkiestr i publiczności.

Marzenie o orkiestrze symfonicznej w Poznaniu, która będzie dawać regularne koncerty, zrodziło się w latach międzywojennych, a jej zaczynem stali się muzycy orkiestry operowej. Wytrwała praca przyniosła w końcu swoje owoce w postaci Orkiestry Symfonicznej Stołecznego Miasta Poznania, która zainaugurowała swoją działalność 14 października 1931 roku.

Był to prawdziwy wybuch muzyki. Orkiestra czasami dawała trzy koncerty tygodniowo! II wojna światowa spowodowała paraliż działalności polskich instytucji, niemniej muzyka polska rozbrzmiewała w konspiracji. Po wyzwoleniu spod niemieckiej okupacji, jako pierwsza swoją działalność wznowiła Opera Poznańska, która przywróciła koncerty symfoniczne, zapoczątkowane przed wojną. Rychło okazało się, że zainteresowanie poznaniaków ruchem symfonicznym jest na tyle wielkie, że istnieje potrzeba utworzenia oddzielnej instytucji, która zajmie się organizacją koncertów symfonicznych. I tak w maju 1946 powstało Towarzystwo Filharmonii Robotniczej, a w rok później w lipcu 1947 roku w sposób oficjalny powołano do życia Filharmonię Poznańską.

Pierwsze sezony Filharmonii Poznańskiej wypełniła przede wszystkim polska muzyka i polscy muzycy.

Zanim nastąpiła oficjalna inauguracja działalności nowej i istniejącej nieprzerwanie do dziś Filharmonii Poznańskiej, pierwszy powojenny, duży koncert symfoniczny odbył się 28 grudnia 1946 roku w hali produkcyjnej Zakładów Cegielskiego. Wydarzenie to odbiło się głośnym echem w prasie, dzięki czemu wiemy, że tego szczególnego koncertu wysłuchało dwa tysiące osób.

10 listopada 1947 roku to data szczególna, tego dnia Filharmonia Poznańska zainaugurowała oficjalnie swoją działalność. Pierwszy koncert odbył się w Auli Uniwersyteckiej, która do dziś jest domem muzyki symfonicznej w Poznaniu. Podczas koncertu inauguracyjnego zabrzmiał „Koncert fortepianowy e-moll" Fryderyka Chopina z Raulem Koczalskim w roli solisty, a także „Uwertura koncertowa Bajka" Stanisława Moniuszki. W drugiej części koncertu wykonano „V Symfonię" Beethovena. Nie obyło się bez bisów. Szczęśliwie dla potomnych zachowała się recenzja Zygmunta Sitowskiego, który w „Głosie Wielkopolskim" pisał: „Pierwszy koncert nie tylko nas nie rozczarował, ale zgoła zadziwił poważnymi rezultatami pracy artystycznej. Bajka Moniuszki i Beethovena V Symfonia pod batutą Wisłockiego z dużą wnikliwością artystyczną i podkreśleniem najistotniejszych muzycznych szczegółów partytury. (...) Na bis słyszeliśmy dobrze brzmiący i zręcznie zinstrumentowany Taniec zbójnicki Wisłockiego."

Przeglądając prasę i programy koncertów sprzed 70 lat, wyłania nam się obraz Filharmonii Poznańskiej, jako instytucji młodej, ale rozwijającej się niezwykle dynamicznie. Jak na skromne warunki życia w powojennej Polsce, a co za tym idzie - trudy codziennego funkcjonowania, imponującym wydaje się fakt, jak wielką popularnością i zainteresowaniem cieszyły się w Poznaniu koncerty symfoniczne. Zdarzały się sytuacje, w których bilety na koncerty orkiestry Filharmonii Poznańskiej sprzedawały się na pniu, a żywo zainteresowana muzyką publiczność domagała się powtarzania sobotnich koncertów następnego dnia.

Pierwsze sezony Filharmonii Poznańskiej wypełniła przede wszystkim polska muzyka i polscy muzycy. Z punktu widzenia dzisiejszego odbiorcy, zaskakujące wydaje się, jak wielką wagę przywiązywano do prezentowania publiczności muzyki współczesnych polskich kompozytorów. Z dużą częstotliwością grywano muzykę Tadeusza Szeligowskiego, Piotra Perkowskiego, Michała Spisaka czy Ludomira Różyckiego. Nie brakowało także repertuaru obcego, z kompozytorów współczesnych grywano chętnie dzieła kompozytorów rosyjskich, wśród nich Dymitra Szostakowicza, Igora Strawińskiego, a także Sergiusza Prokofiewa.

W tamtym czasie do Poznania przybywali także czołowi polscy mistrzowie batuty. Poza pierwszym dyrektorem Filharmonii Poznańskiej - Stanisławem Wisłockim, poznańskich symfoników prowadzili także Witold Rowicki, Arnold Rezler, Zygmunt Latoszewski oraz Zdzisław Górzyński.

A jak wygląda teraźniejszość Filharmonii Poznańskiej? Co dziś proponuje publiczności?

Filharmonia Poznańska jest zaliczana do czołowych orkiestr symfonicznych w Polsce, o czym często dowiadujemy się z recenzji. Trzonem jej działalności są stałe koncerty w każdy piątek, od października do czerwca. Szefem artystycznym Poznańskich Filharmoników jest wybitny, polski dyrygent Marek Pijarowski, a częstym gościem na podium dyrygenckim - Łukasz Borowicz, który uchodzi za jednego z najlepszych dyrygentów w Polsce. Coraz częściej na koncertach Filharmonii usłyszeć można także młodego, bardzo dobrze zapowiadającego się dyrygenta Jakuba Chrenowicza. Ponadto w każdym sezonie pojawia się wielu dyrygentów gościnnych, z reguły cieszących się wysoką renomą w świecie muzyki. Wystarczy wspomnieć o takich nazwiskach jak Sir Neville Marriner, czy Daniel Stabrawa.

Autor: Adam Olaf Gibowski

Zdjęcie: G. Wyszomirska *(z książki „Filharmonia Poznańska. Zarys działalności w latach 1947 – 1969" Adama Cichego, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1970)*

Cały tekst na kulturaupodstaw.pl

Muzyka daje schronienie

Kiedy jedenaście lat temu obejmowałem stanowisko dyrektora Filharmonii Poznańskiej, miała ona problemy frekwencyjne, podobnie zresztą jak wiele innych polskich instytucji artystycznych. Obecnie tych problemów nie mamy, do kas biletowych ciągną się długie, czasem bardzo długie kolejki chętnych - mówi Wojciech Nentwig, dyrektor FP.

Sebastian Gabryel: Jeśli muzyka rzeczywiście jest łącznikiem pomiędzy sferą zmysłów i ducha, jak twierdził Ludwig van Beethoven, to można powiedzieć, że filharmonia jest miejscem, w którym tę więź widać najwyraźniej?

Wojciech Nentwig: To bardzo trafna konstatacja genialnego Mistrza z Bonn, wszak filharmonia to miejsce, w którym człowiek może odciąć się od otaczającej go rzeczywistości, oddać się temu, co piękne, szlachetne i wzniosłe. Kunszt wielkich kompozytorów i wykonawców pozwala nam - choć na kilka chwil - znaleźć się w innym, znacznie piękniejszym świecie, który jest dziełem ludzkiego geniuszu. Czy można myśleć inaczej, mówiąc choćby o 104 symfoniach Józefa Haydna? Myślę, że wrażliwość na piękno drzemie w każdym z nas, lecz bardzo wiele osób jeszcze nie zdołało jej w sobie rozbudzić. Jeśli jednak dadzą sobie tę szansę, najpewniej uznają, że filharmonia oferuje wręcz nierealnie piękny świat. Sądzę, że potrzebę przebywania w nim odczuwa każdy z nas, choćby podświadomie. Ten świat jest bardzo odległy od tego, co dzieje się za oknem. Oddalony od codziennego pośpiechu, chyba nie do końca dla nas wszystkich zrozumiałego, czy od zdarzeń złych, z którymi jakże często się spotykamy.

Takich „nierozbudzonych" osób wciąż jest chyba zbyt wiele?

- Oczywiście! To wręcz nieprawdopodobne, że kontakt z muzyką klasyczną - z niezrozumiałych dla mnie powodów, określaną w Polsce mianem muzyki poważnej - ma mniej niż jeden procent ludności świata. To dane statystyczne. Z drugiej strony jednak, rzeczywistość pokazuje coś innego. Raz, niekiedy dwa razy w tygodniu, gramy każdorazowo dla ponad tysiąca osób. Może w Wielkopolsce muzyka klasyczna interesuje ludzi bardziej niż przeciętnych Europejczyków? Chociaż, kiedy jedenaście lat temu obejmowałem stanowisko dyrektora Filharmonii Poznańskiej, miała ona problemy frekwencyjne, podobnie zresztą jak wiele innych polskich instytucji artystycznych. Obecnie tych problemów nie mamy; do kas biletowych ciągną się długie, czasem bardzo długie kolejki chętnych. Ktoś zauważył, że podobno od jakiegoś czasu panuje moda na Filharmonię Poznańską - jeśli rzeczywiście tak jest, to mogę się tylko cieszyć. Nie ma wszak nic gorszego, niż granie do pustych krzeseł.

Pamięta Pan ten moment, w którym po raz pierwszy zakochał się w muzyce filharmonicznej?

- Na pewno nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, chociaż kontakt z muzyką miałem od dziecka. Najpierw uczyłem się gry na skrzypcach. Później znalazłem się w Poznańskiej Szkole Chóralnej oraz Poznańskim Chórze Chłopięcym Jerzego Kurczewskiego. Miałem wtedy dziesięć lat. Pierwsze trzy dni w nowej szkole były dla mnie koszmarem. Tak wielkim, że błagałem rodziców, aby natychmiast mnie stamtąd zabrali (śmiech).

Dlaczego?

- Bo wydawało mi się, że wymaga się ode mnie rzeczy niemożliwych. Pierwsze lekcje solfeżu... były dla mnie czymś strasznym. Później było już lepiej, choć pamiętam, że pierwszym utworem na próbie chóru, z którym przyszło mi się zmierzyć, był motet Singet dem Herrn ein neues Lied Jana Sebastiana Bacha. Zapewne jeden z najtrudniejszych utworów w literaturze chóralnej. Przynajmniej tak mi się wtedy zdawało.

Został Pan wrzucony na głęboką wodę.

- Nagle znalazłem się w oceanie! Dyrygent coś nam pokazywał, czegoś oczekiwał - a ja nie wiedziałem, o co mu chodzi (śmiech). Muszę więc przyznać, że pierwsze zetknięcie z muzyką było dla mnie, delikatnie mówiąc, zaskakujące. Tak od razu jej nie pokochałem, to wymagało czasu. Lekcje w szkole chóralnej mieliśmy codziennie, więc siłą rzeczy trzeba było się w to wciągnąć. Na estradzie Auli Uniwersyteckiej zadebiutowałem mając niespełna 11 lat. Później wszystko potoczyło się szybko i ciekawie. Zaczęły się wyjazdy, dzięki którym zjechałem „kawał" Europy. Myślę, że właśnie dzięki takim doświadczeniom w młodości, odkrywa się barwy życia. Przy okazji człowiek uczy się też pewnej dyscypliny i organizacji czasu. Dlatego szkołę chóralną postrzegam nie tylko jako miejsce rozwijające wrażliwość człowieka na piękno muzyki, ale jako prawdziwą szkołę życia. To, co z niej wyniosłem, zostało mi do dziś. Każdego wieczoru układam w miarę precyzyjnie plan na kolejny dzień.

Przed nami sezon jubileuszowy filharmonii. Poznańska publiczność już zaciera ręce - artystą-rezydentem będzie jeden z najwspanialszych polskich pianistów - Rafał Blechacz. Co usłyszymy w jego wykonaniu?

- 10 listopada Rafał Blechacz wykona Koncert f-moll Chopina. Natomiast wiosną przyszłego roku, pod batutą Paula McCreesha, zagra XXIII Koncert fortepianowy A-dur KV 488 Mozarta oraz wystąpi w wieczorze sonat, w duecie z Bomsori Kim - ulubienicą publiczności XV Konkursu Wieniawskiego. Rafała cenię przede wszystkim za jego oryginalność. Za to, że jest nie tylko fantastycznym pianistą wirtuozem, a ujmując rzecz precyzyjniej - wybitnym muzykiem, ale również wspaniałym człowiekiem, o bardzo głębokim wnętrzu. Chyba nie zdradzę tajemnicy, jeśli powiem, że właśnie przygotowuje doktorat z... filozofii. Jesteśmy usatysfakcjonowani, że to właśnie w naszej filharmonii zagra jedyne swoje koncerty, które odbędą się w tym sezonie w Polsce. Cieszę się, że lubi tu występować. Niekiedy bywa u nas incognito, spędzając przy naszym Steinwayu wiele godzin.

Aula Uniwersytecka, będąca salą koncertową Filharmonii Poznańskiej, to jedna z najlepszych i najpiękniejszych sal koncertowych w Polsce. Chyba żal byłoby się z niej wyprowadzać?

- To pytanie równie prowokujące, co i teoretyczne... Z Aulą jestem od pół wieku bardzo związany emocjonalnie. Cieszę się, że możemy grać w tak cudownej sali, jednakże „bezdomność" Filharmonii Poznańskiej powoduje, że warunki naszej pracy są wyjątkowo trudne. Nierzadko się zdarza, że próby sekcyjne orkiestry muszą odbywać się w holu Auli, ba - w garderobach czy w sali w naszych pomieszczeniach biurowych, gdzie zresztą odbywają się próby „Poznańskich Słowików". Wiem jednak, że władze samorządowe Wielkopolski zdają sobie sprawę z tej sytuacji. Dlatego pozostaję... optymistą.

Rozmawiał: Sebastian Gabryel
Zdjęcia: Mariusz Forecki

Cały wywiad na kulturaupodstaw.pl

Pierwsi dyrektorzy-entuzjaści

Pionier Tadeusz Szeligowski, miłośnik wielkiej, muzycznej literatury europejskiej - Stanisław Wisłocki i zafascynowany współczesną muzyką, Jerzy Katlewicz – to tylko trójka dyrektorów Filharmonii, która zostawiła wyraźny ślad w 70- letniej historii tej instytucji. Po nich byli inni, też znakomici, m.in. Robert Satanowski czy Andrzej Borejko.

Historie instytucji muzycznych, to historie ludzi, którzy je powoływali do istnienia, nadawali im kształt artystyczny, wyznaczali drogi rozwoju. Nie inaczej jest z Filharmonią Poznańską im. Tadeusza Szeligowskiego. To jedna z najstarszych instytucji tego rodzaju w Polsce, która zaczynając swoją działalność w roku 1947, trwa i rozwija się do chwili obecnej.
Początki nie należały do najłatwiejszych, po latach hitlerowskiej okupacji Poznań wracał do życia. Jako pierwsza swoją działalność artystyczną wznowiła Opera Poznańska, która już przed wojną dawała także koncerty symfoniczne, a w czasach powojennych zasilała skład powstającej filharmonii w Poznaniu. Stanisław Wisłocki, znakomity dyrygent i drugi w historii dyrektor poznańskich filharmoników, tak po latach wspominał początki: „Pamiętam, jak jeździliśmy z Tadeuszem Szeligowskim po różnych miastach i miasteczkach województwa wielkopolskiego w poszukiwaniu muzyków. Zrobiliśmy w Poznaniu konkurs. Orkiestra zaczęła rosnąć. Pierwszy skład nie przekraczał 50 osób. Pomagali nam bardzo muzycy z Opery Poznańskiej. W końcu zebraliśmy pełen skład, który umożliwił wykonywanie każdego repertuaru." Z perspektywy czasu i wiedzy historycznej, widać że Filharmonia Poznańska zrodziła się z dwóch iście wielkopolskich cech - pracy u podstaw oraz pracy organicznej.
Codzienna praca ludzi po dziś dzień przynosi znakomite rezultaty, co widać po tłumach publiczności gromadzącej się co piątek w Auli UAM, jak i randze artystów przybywających do Poznania. Warto pamiętać o tych, którzy dali początek instytucji, która po dziś dzień ubogaca życie artystyczne Wielkopolan.

Pierwszym dyrektorem Filharmonii Poznańskiej został Tadeusz Szeligowski, lwowianin z urodzenia, a z wyboru poznaniak. Szeligowski związał się z Poznaniem tuż po wojnie, przybywając zaliczał się do grona założycieli filharmonii w Poznaniu, ale prowadził także bogatą działalność artystyczną jako kompozytor. Jest uważany za jednego z czołowych przedstawicieli nurtu neoklasycznego w muzyce polskiej. Była to barwna postać, której życie

Tadeusz Szeligowski

Stanisław Wisłocki

Jerzy Katlewicz

muzyczne w Poznaniu bardzo wiele zawdzięcza.

Związany od samego początku z Filharmonią Poznańską dyrygent Stanisław Wisłocki przejął dowodzenie instytucją w roku 1951, kierując nią przez kolejnych siedem lat. Wisłocki był dyrygentem nietuzinkowym, zaliczyć go można do grona najwybitniejszych dyrygentów polskich. W Poznaniu dał się poznać jako artysta dbający o kanon wielkiej literatury europejskiej, złożonej z dzieł Bacha, Mozarta, Beethovena, pałał też szczerą miłością do muzyki Fryderyka Chopina, którego „Koncert fortepianowy e-moll" wybrał na koncert inaugurujący działalność filharmonii w roku 1947. W roku 1950 przypadała dwusetna rocznica śmierci Jana Sebastiana Bacha, z tej okazji dzięki Wisłockiemu odbył się cykl koncertów monograficznych, poświęconych mistrzowi z Lipska, który w swoisty sposób stanowił punkt kulminacyjny sezonu 1949/50. Dość szczegółowo odnotowali to wydarzenie recenzenci. „Dni Jana Sebastiana Bacha" odbyły się w dniach 14 kwietnia do 7 maja. Podczas czterech koncertów publiczność usłyszała niemalże pełen cykl Koncertów Brandenburskich, a także koncerty fortepianowe, w tym słynny „Koncert na 4 fortepiany". Kusił nie tylko atrakcyjny program, ale i wykonawcy. Wspomniany koncert wykonali czterej artyści, uchodzący za kwiat polskiej pianistyki, a byli nimi Zbigniew Drzewiecki, Jan Ekier, Jan Hoffman oraz Bolesław Woytowicz. Wisłocki był także szczerym orędownikiem muzyki współczesnej, którą stawiał na równi z muzyką przeszłych epok. Za jego dyrekcji w Poznaniu miało miejsce wiele prawykonań polskich kompozytorów, a jego pomysły repertuarowe rozwijane były w przeszłości z jeszcze większą intensywnością.

Skoro mowa o repertuarze muzyki na tamte czasy współczesnej, trudno pominąć kolejnego szefa poznańskiej orkiestry symfonicznej, Jerzego Katlewicza, który od samego początku swojej kadencji oferował poznaniakom niezwykle wyrafinowane programy i realizacje muzyki XX wieku. Katlewicz kierował Filharmonią Poznańską przez trzy lata, między rokiem 1958 a 1961. To dzięki niemu w Poznaniu słuchano suity „Ptaki" Ottorino Respighiego, medytacji symfonicznych „Zapomniane ofiary" Oliviera Messiaena czy „Ballady szkockiej" Benjamina Brittena. W Polsce trudno było znaleźć w tamtym czasie właściwą konkurencję dla tak nowoczesnego repertuaru. Katlewicz mimo fascynacji muzyką współczesną, nie zapominał o dziełach należących do kanonu muzycznej przeszłości. Idąc w ślad za Wisłockim, kontynuował muzyczne monografie. I tak w sezonie artystycznym 1959/60 poznaniacy mieli okazję wysłuchania wszystkich dziewięciu symfonii Ludwiga van Beethovena, ostatnia i najsłynniejsza IX Symfonia zabrzmiała na zakończenie sezonu. Obok tego w ramach „Cyklu Beethovenowskiego" Filharmonia Poznańska wraz z zaproszonymi solistami zagrała także wszystkie koncerty fortepianowe kompozytora oraz „Koncert skrzypcowy" z Romanem Totenbergiem w roli solisty.
Podczas dyrekcji Katlewicza, w roku 1960 przypadała 150. rocznica urodzin Fryderyka Chopina. Ta okazja wymagała szczególnej oprawy i takiej się doczekała. Rocznicowe obchody otworzył - 18 lutego w Poznaniu - jeden z największych pianistów XX wieku, wielki Artur Rubinstein. Zaledwie miesiąc później w Auli UAM pojawił się zwycięzca VI Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, pianista pochodzący z Włoch Maurizio Pollini.

Po Jerzym Katlewiczu Filharmonią Poznańską kierowało wielu innych uzdolnionych i wybitnych dyrygentów. Trudno zapomnieć o Witoldzie Krzemińskim, Robercie Satanowskim, Zdzisławie Szostaku, Andrzeju Borejce czy Jose Marii Florencio, a także o obecnym szefie artystycznym Marku Pijarowskim. Warto jednak pamiętać, że gdyby nie indywidualność, charyzma i entuzjazm pierwszych dyrektorów i kierowników artystycznych, filharmonia w Poznaniu nie byłaby tak znakomitą instytucją na mapie Polski, za jaką niezmiennie uchodzi.

Autor: Adam Olaf Gibowski

Zdjęcia pochodzą z książki: „Filharmonia Poznańska. Zarys działalności w latach 1947 – 1969" Adama Cichego, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1970

Nowe miejsce dla Filharmonii

W Poznaniu powinna powstać nowoczesna sala koncertowa, wielofunkcyjna. Jej powstanie wymaga mobilizacji środków i samorządu województwa, i miasta, i centralnych. Takich rzeczy nie udaje się zrobić z budżetu jednego podmiotu. Szacuję, że ta inwestycja może kosztować w granicach 250-300 milionów - mówi marszałek Marek Woźniak.

Daina Kolbuszewska: Filharmonia Poznańska obchodzi w tym roku jubileusz 70-lecia. Z czego jest Pan dumny, kiedy dziś myśli o naszej Filharmonii?

Marek Woźniak, Marszałek Województwa Wielkopolskiego: Przede wszystkim z frekwencji. To duże osiągnięcie, jeśli frekwencja na koncertach przekracza 110 procent! Oznacza to, że oferta instytucji jest trafiona w zapotrzebowanie odbiorców. Oczywiście, zawsze można dyskutować, czy ta oferta jest wystarczająco ambitna, czy niekoniecznie. Uważam jednak, że nie jest to najistotniejszy miernik. Najważniejsze, czy ludzie chcą z tych propozycji korzystać, czy chętnie uczestniczą w koncertach, czy jest to zjawisko stałe, czy incydentalne. W naszym przypadku – stałe. Dlatego jako ktoś, kto zarządza pieniędzmi publicznymi, mogę stwierdzić, że są dobrze wydawane. Doceniam też różnorodność filharmonicznej oferty. Mówimy przecież nie tylko o stałych koncertach, ale też o wydarzeniach poza siedzibą, poza Poznaniem. To ogromna wartość z perspektywy słuchacza, który mieszka dość daleko od Poznania. Zdarza się przecież, że odległość jest elementem blokującym dostęp do kultury. Pamiętajmy też o Pro Sinfonice, która wychowuje nowych słuchaczy. I Poznańskich Słowikach, symbolu naszego miasta.

Były lata, kiedy na widowni wiało pustką, narzekano na słabą orkiestrę...

- Były różne kryzysy. Zawsze są one wypadkową relacji wewnętrznych. Tego, jak dyrektor postrzega swoją rolę, jak potrafi sobie radzić z problemami, bo one są zawsze. Dyrektor nigdy nie ma sytuacji w pełni komfortowej, zwłaszcza w kwestiach finansowych czy interpersonalnych. Do tego dochodzi jeszcze kwestia wyboru repertuaru, bardzo istotna. Instytucje mają przecież służyć ludziom, a nie osobom tam pracującym.

Filharmonia wymagała dofinansowania. I w ostatnich 10 latach otrzymywała dofinansowanie na całkiem dobrym poziomie - jak na nasze możliwości. Mówiąc o możliwościach mam na myśli ograniczony budżet, bo mamy też na liście szpitale i inne instytucje, więc często nie możemy dać tyle, ile byśmy chcieli. Wydaje mi się, że na kulturę przeznaczamy jednak dość sporo - zawsze ponad 100 mln rocznie, z czego Filharmonia dostaje ponad 10 mln. Ta kwota pozwalała na wiele. Ale trzeba też podkreślić, że jej dyrektor - Wojciech Nentwig potrafił uzyskać również wpływy z biletów. Poza tym, w budżecie filharmonii mają swój udział sponsorzy. To zasługa dyrektora i jednocześnie świadectwo świadomego budowania marki instytucji.

A jednak odnoszę wrażenie, że Filharmonia doszła do ściany.

- Jeśli chodzi o warunki lokalowe - tak. To jest problem, o którym dyskutujemy już od dłuższego czasu. W Poznaniu powinna powstać nowoczesna sala koncertowa, wielofunkcyjna. Jej powstanie wymaga mobilizacji środków i samorządu województwa, i miasta, i centralnych. Takich rzeczy nie udaje się zrobić z budżetu jednego podmiotu. Mamy przykład Wrocławia, który skorzystał z dużych środków centralnych przy budowaniu Narodowego Forum Muzyki. To pokazuje pewien model. Potrzebna jest koncentracja finansowa i pewna determinacja. No i udowodnione zapotrzebowanie! W czasach, kiedy w Filharmonii nie było kompletów, a ilość słuchaczy była...

Mizerna!

- ... mizerna, trudno było przyjąć, że budowa takiej sali jest najpilniejszą potrzebą. Kiedy okazało się, że frekwencja jest, i to duża, taka potrzeba staje się coraz bardziej oczywista. Jasne, że w polityce miasta stadion był większym priorytetem niż sala dla prezentacji muzycznych. Myślę jednak, że teraz nadszedł czas, by o tym rozmawiać. Warto byłoby odważyć się na coś śmielszego.

Rozumiem, że mówimy o budynku dla Filharmonii. Skąd powinniśmy czerpać wzorce?

- Wrocław, jeśli chodzi o prestiż, a także Katowice. Tego rodzaju realizacje - w Katowicach wybitna, dopilnowana jeśli chodzi o akustykę – powinny nas interesować (chodzi o budynek Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach - przyp. red.).

Takie realizacje nie powstają zbyt szybko.

- Można sobie wyznaczyć perspektywę 10 lat. Trudność polega na tym, że środki unijne nie dotyczą tych sfer. Trzeba montować ten projekt z budżetu krajowego.

Nowy obiekt z przeznaczeniem wyłącznie dla Filharmonii?

- Raczej wspólna scena, z której będą korzystać różne podmioty, ale zarządzana przez jednego operatora. To jest oczywiście kwestia do przemyślenia.

Czyli coś na wzór tego, co powstało we Wrocławiu? Z NFM korzysta 11 zespołów.

- Myślę, że tak. We Wrocławiu powstał budynek z całą infrastrukturą. Ale dopiero użytkowanie NFM pokaże, jaka jest struktura kosztów i przychodów, czy wykorzystanie tego obiektu jest stuprocentowe. Warto się temu przyglądać. To jest jakiś model. I warto myśleć śmiało, rozpatrywać wielofunkcyjność jako element istotny w tym projekcie. Oczywiście, można byłoby wybudować dla Filharmonii osobny obiekt, ale nie sądzę, żeby miał on wtedy taki rozmach.

Rozmach? To znaczy, że bierze Pan pod uwagę międzynarodowy konkurs architektoniczny?

- Bezwzględnie. Rozmawiałem o tym z dyrektorem Nentwigiem. Jeśli mamy przymierzać się serio do tego projektu, to oprócz znalezienia dobrej lokalizacji, takiej, która jest funkcjonalna z punktu widzenia dojeżdżających na koncerty, musimy jeszcze myśleć o obiekcie znaczącym architektonicznie, tworzącym nowoczesną przestrzeń miejską. To oczywiście podnosi poprzeczkę konkursową, a co za tym idzie – także koszty. Ale patrząc długofalowo - warto je ponieść.

O jakich lokalizacjach mowa?

- W mieście coraz trudniej znaleźć dobrą lokalizację. Na razie rozglądamy się. Są tereny, które będą uwalniane pod planowanie przestrzenne, jak tzw. Wolne Tory... Oczywiście, to kwestia rozmowy z prezydentem miasta Jackiem Jaśkowiakiem. Ale zanim do niej dojdzie, potrzebujemy bardziej doprecyzowanej koncepcji analizy finansowej. Szacuję, że ta inwestycja może kosztować w granicach 250-300 milionów.

Rozmawiała: Daina Kolbuszewska
Zdjęcia: Mariusz Forecki

Cały wywiad na kulturaupodstaw.pl

Kilka „naj" na jubileusz

70 lat to piękny wiek. Czy wypada tak dostojnej Damie – bo Muzyka, Filharmonia, Aula są rodzaju żeńskiego – czynić wyrzuty (nieliczne), wytykać potknięcia? Chwalić, że dobra, piękna i chętnie słuchana? – zastanawia się Andrzej Jazdon z Biblioteki Uniwersyteckiej w Poznaniu, muzykolog i od prawie pół wieku stały bywalec koncertów w Filharmonii.

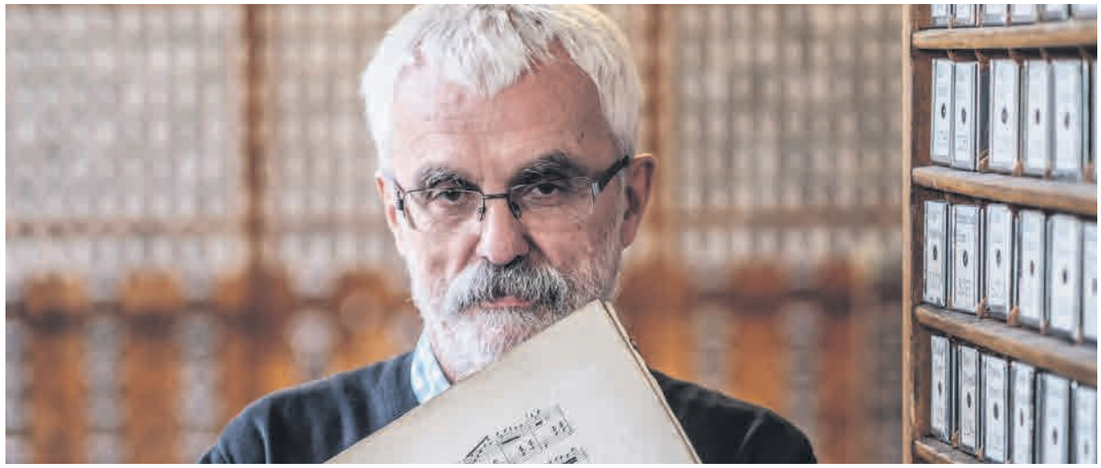

Chciałoby się rzec, więcej pokory, ale jak człowiek spojrzy w swoją metrykę, przypomni sobie ile lat się znamy (prawie równolatkowie), to można powiedzieć każdą prawdę, ale tylko prawdę....

No właśnie.... Ile lat się znamy? Na pierwsze koncerty chodziłem jeszcze z rodzicami i niewiele z nich pamiętam. W zakamarkach pamięci tylko jeden koncert na dziedzińcu Szkoły Baletowej w 1966 roku. Śpiewał Chór chłopięco-męski Filharmonii Poznańskiej pod dyrekcją Stefana Stuligrosza. To był jeden z koncertów związanych z uroczystościami milenijnymi. Pozostałe koncerty to tylko blask blachy, grupa instrumentów smyczkowych i tłumy słuchaczy. Niewiele, ale ziarno zostało zasiane.

W październiku 1970 roku już samodzielnie poszedłem na pierwszy koncert, namówiony przez profesora wychowania muzycznego w naszym liceum - znanego poznańskim chórzystom Henryka Górskiego - do zapisania się na Pro Sinfonikę. I niech moje 47-letnie chadzanie na koncerty będzie najlepszym hołdem dla tej filharmonicznej inicjatywy. Bo wtedy tak naprawdę wszystko się zaczęło.

Pierwsze wrażenie to zachwyt miejscem - Aulą, jej kształtem, kolorem. Była wtedy siermiężna, przybrudzona, ale zachwycała. Dopiero przeprowadzony wiele lat później remont pokazał, jak powinna wyglądać. Szacowna, elegancka, skrząca się złotem. Tylko akustyka się nie zmieniała, zawsze zachwycająca...

I prezentacja instrumentów... I „Bolero" Ravela - jak się później zorientowałem, grywano je wtedy zawsze na inauguracyjnym koncercie. I świadomość, że muzyka słyszana na koncercie brzmi zupełnie inaczej, dociera z każdego miejsca, otula człowieka... I nie zastąpi jej żadna płyta analogowa (później CD) i nawet najlepszy sprzęt odtwarzający. A drobne wpadki, pomyłki, opóźnienia, kiksy szczególnie instrumentów dętych, dodają całości kolorytu.

I potem 47 lat słuchania. Mniej lub bardziej systematycznego. Przyznaję, żadnego sezonu w całości. Ale z biegiem lat te przerwy były coraz krótsze. Teraz opuszczam 2-3 koncerty w sezonie.

I pozostaje w człowieku muzyka. I te zapamiętania. Takie na zawsze. Czasami całego koncertu, czasami tylko wydobytej frazy, solówki, spotkanych znajomych, rozmów w kuluarach. Czasami tylko zjawiskowo pięknej Kobiety, która jak Muza przemknęła przez westybul. I tym wszystkim mam się dzisiaj na urodzinach podzielić? Każdym zapamiętaniem, olśnieniem? I pytanie od czego zacząć? Może od wad? Błędów? By później osłodzić tę drobinę goryczy, zakończyć laurką, listem pochwalnym. No to zaczynajmy. W ciągu tylu lat musiały się trafić chwile, o których człowiek by chętnie zapomniał. Zacznijmy od siebie, od nas, od słuchaczy. My też potrafimy być nieznośni. Najszybciej rozwiązano problem spóźnialskich. Zamykane o 19 drzwi skutecznie nauczyły wszystkich punktualności. Ale jak oduczyć słuchaczy jedzenia? Wyjmowania termosów? Czy tego nieszczęsnego klaskania po każdej części? Wiem, jest coraz lepiej, ale miało być o wadach, bolączkach, dlatego o tym piszę. (...)

Najgorszy koncert. Był taki. Jest rok 2010. Na afiszach sensacyjna informacja, że w Poznaniu wystąpi Ivo Pogorelich, tak, ten Ivo Pogorelich, który tak „namieszał" na X Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w 1980 roku. Wyobrażacie sobie to napięcie? I to wielkie rozczarowanie? Kiedy muzyka, na którą czekamy, jest ciężka, bez polotu, nie wzrusza, nie brzmi jak spod palców wirtuoza. To było moje największe rozczarowanie. Tym większe, że bardzo cenię nagrania tego pianisty i często ich słucham.

I jeszcze jedno, może nie rozczarowanie, ale związane z repertuarem koncertów. Taki żal, tęsknota za czymś, czego nie ma. A czego chciałoby się posłuchać. Brakuje mi w repertuarze ostatnich kilku, kilkunastu lat muzyki kameralnej, wielkich recitali. Dlaczego milczą organy? Nie jest to najlepszy instrument, nie znam jego aktualnego stanu technicznego. Ale jeżeli może towarzyszyć wielkim formom oratoryjnym, to może czasami moglibyśmy posłuchać ich brzmienia? Uff, to już za mną. Te najtrudniejsze słowa o niepowodzeniach. Może było ich więcej. Ale czy musimy o nich mówić w czasie urodzin? (...)

Najkrótszy koncert? Przejmujące jak zawsze „Requiem" Wolfganga Amadeusza Mozarta wykonane pod batutą Stefana Stuligrosza.

Najdłuższy koncert? Ledwo wysiedziany, wiercąca się wraz z upływem czasu publiczność i dostojny „Mesjasz" Jerzego Fryderyka Handla (piękna skądinąd muzyka) pod tym samym kierownictwem. Zagrana każda nuta, każda repetycja. I znużenie...

Największa obsada... Tak, był kiedyś taki koncert. Pasja wg św Mateusza Jana Sebastiana Bacha. Na scenie dwa chóry: gościnnie chór kościoła św. Tomasza z Lipska i chór Jerzego Kurczewskiego, soliści, wielka orkiestra symfoniczna naszej filharmonii i siedzący pośrodku, obok klawesynu gambista, realizujący basso continuo. Wtedy mi się to bardzo podobało, ale dzisiaj wiem, że taką muzykę gra się zupełnie inaczej. Nie w ilości muzyków tkwi jej piękno....(...)

I ten koncert najważniejszy. Dla mnie. Najpiękniejszy. Inauguracja sezonu i na scenie Simone Kermes, zwana Królową Baroku. Zachowująca się na scenie jak gwiazda pop. Żyjąca muzyką i poruszająca się na scenie w jej rytm, przeżywająca sobą każdą frazę. I płynąca ze sceny muzyka tej najpiękniejszej epoki. I kiedy na bis zamiast porywającej, wirtuozowskiej arii, skrzącej się trylami, popłynęły przejmujące słowa „Lascia ch`io pianga" [Pozwól mi płakać], na sali zapadła cisza, kiedy wybrzmiały ostatnie piana, nie przerwały jej przez kilka sekund żadne brawa. Trwaliśmy z Nią w bólu rozstania. Tak potrafią tylko wielkie gwiazdy.(...)

Czego Ci życzyć Droga Filharmonio w dniu tak uroczystym?

To będą życzenia trochę egoistyczne, bo szyte na moją miarę, na miarę moich pragnień i marzeń. Chciałbym słyszeć więcej muzyki nieznanej. I tej najstarszej sprzed wielu lat, ale i tej nowszej, która może powstaje, kiedy piszę te słowa. Uczmy się słuchać, tego co nieznane, co nowe. I by ta zmiana, która nastąpiła w ciągu ostatnich lat – pełna sala słuchaczy - stała się regułą. By tak pozostało. Bo nie ma nic smutniejszego niż widok pustawej sali i muzyka, szukająca słuchacza.

I chciałbym, żeby ten rytuał - piątkowy wieczór, elegancka kreacja, biała koszula muszka/krawat - trwał jak najdłużej. Zawsze. I mimo naszych utyskiwań, że publiczność nie ta, znowu V symfonia, żebyśmy mogli, żebyście Wy mogli cieszyć się Muzyką i stuleciem Filharmonii, czego z całego serca Jej, słuchaczom i sobie życzę.

Autor: Andrzej Jazdon
Zdjęcie: Mariusz Forecki

Cały wywiad na kulturaupodstaw.pl

Od klasyki do hip hopu

Chcemy „zaopatrzyć" młodych ludzi w takie wartości estetyczne, które pozwolą im wybrać dobrą muzykę - bez względu na to, czy będzie ona wyrastać z klasyki, jazzu czy popu. Dzieci powinny mieć świadomość tego, co jest wyszukaną ucztą, a co zwykłym McDonald'sem - mówi Marlena Gnatowicz-Drobnik, kierowniczka artystyczna poznańskiej Pro Sinfoniki.

Sebastian Gabryel: Dave Gahan, wokalista zespołu Depeche Mode, w jednym z wywiadów stwierdził, że dzisiejsze dzieciaki nie czują wartości muzyki. Nie odbierają jej jako czegoś cennego, jako dzieła sztuki. Jako kierowniczce artystycznej Pro Sinfoniki trudno się Pani z tym zgodzić?

Marlena Gnatowicz-Drobnik: Nie chciałabym uogólniać, gdyż w swojej pracy spotykam zarówno fantastyczne dzieci i młodzież, które mają pasję i chęć muzykowania, jak również - muzycznych oportunistów. Ci ostatni, nie wzięli się znikąd. Odpowiedzialność ponosi nasze niemuzykalne społeczeństwo oraz system edukacji, w którym brakuje muzyki. Polacy nie chcą, a w dalszej kolejności, nie umieją śpiewać i słuchać. Zniknęła wspaniała tradycja śpiewania w domach. Nie mamy wyrobionego nawyku muzykowania, tłumacząc się brakiem słuchu muzycznego. Tymczasem każdy - o ile nie ma jakiegoś konkretnego uszczerbku na zdrowiu - ma słuch i może śpiewać.

Śpiewać każdy może - jak uważał najsłynniejszy poznański kabareciarz, Zenon Laskowik.

- Oczywiście! Niestety, teoretycznie, bowiem w praktyce tak nie jest. Małe dzieci chętnie garną się do muzyki i muzykowania, co widać podczas koncertów Pro Sinfoniki. Jednak młodzież - zwłaszcza nastoletnią - coraz trudniej „zagonić" do filharmonii. W pewnym wieku przychodzi taki moment, w którym nastolatkowie zaczynają stronić od muzyki klasycznej, wydaje się im nudna i niezrozumiała. Trudno powiedzieć, co jest tego powodem. Na pewno winne są nasze niedopatrzenia w zakresie wychowania muzycznego; brak lekcji muzyki w szkołach i ciekawych zajęć umuzykalniających. W rezultacie nastolatkowie odchodzą w stronę muzyki rozrywkowej. To ona do nich przemawia. Ma całkowicie inną stylistykę i estetykę oraz jest łatwa w odbiorze. W przeciwieństwie do muzyki klasycznej, która zawsze była elitarna i taka już pozostanie. Słuchanie jej wiąże się z koniecznością włożenia pewnego wysiłku intelektualnego: w poznanie, percepcję i recepcję.

Główną zasadą działalności Pro Sinfoniki od zawsze była dobrowolność uczestnictwa. Aby do niej przystąpić, wystarczy chcieć. Państwa domeną są koncerty, spotkania muzyczne, turnieje warsztaty, ale czy Pro Sinfonika to wciąż muzyczny ruch młodzieżowy?

- Od sześciu lat działamy w odświeżonej formule. Oczywiście, dzisiejsza Pro Sinfonika wyrasta z dawnego ruchu miłośników muzyki, założonego przez Alojzego Andrzeja Łuczaka, jednak musimy dostosowywać ją do wymogów współczesności i oczekiwań naszej publiczności.

Co to oznacza?

- Ofertę artystyczną naszych cykli koncertowych, czyli: Muzykoteki, Muzykoteczki i Muzomobila, staramy się przygotowywać w atrakcyjny sposób, dostosowany do wieku słuchaczy i do ich możliwości percepcyjnych. Każdą grupę wiekową odbiorców traktujemy bardzo indywidualnie. Na pewno nie jesteśmy już tak sformalizowani, jak to bywało kiedyś. Alojzy Andrzej Łuczak stworzył strukturę Pro Sinfoniki opartą na klubach i kołach, które działały w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych na terenie Poznania i województwa wielkopolskiego. Z biegiem lat tych klubów i kół ubywało. Zatem zdecydowaliśmy się odejść od tego. Poza tym, mam wrażenie, że dzisiaj młodzież nie zrzesza się już tak chętnie, jak to bywało kiedyś.

Jednym z najważniejszych celów Pro Sinfoniki jest wychowywanie dzieci i młodzieży poprzez muzykę.

- Taki cel przyświecał Pro Sinfonice od momentu jej powstania. Obecnie chcemy zaszczepić w naszych odbiorcach miłość do muzyki klasycznej i przedstawić im ciekawą alternatywę wobec muzyki rozrywkowej, którą oferują im środki masowego przekazu. Jednak to wcale nie oznacza, że całkowicie ją odrzucamy.

To prawda, programy artystyczne Pro Sinfoniki są dość eklektyczne.

- Bo nie jesteśmy wyłącznie klasycznymi purystami! Każdy z nas słucha bardzo różnej muzyki. Chcemy jedynie „zaopatrzyć" młodych ludzi w takie wartości estetyczne, które pozwolą im wybrać dobrą muzykę - bez względu na to, czy będzie ona wyrastać z klasyki, jazzu czy popu. Dzieci powinny mieć świadomość tego, co jest wyszukaną ucztą, a co zwykłym McDonald'sem.

Irytuje Panią promowanie niewłaściwych, niecenzuralnych treści wśród najmłodszych? Dwa lata temu jednym z najpopularniejszych filmów na polskim YouTube było nagranie ze szkolnej dyskoteki, na której dzieci radośnie śpiewają piosenkę hiphopowego zespołu Gang Albanii, o imprezie w klubie go-go...

- Oczywiście, że irytuje, zwłaszcza, że sama jestem mamą.

Bycie rodzicem oznacza również dbałość o to, jakiej muzyki słucha dziecko? Wydaje się to o tyle trudne, że przecież zakazany owoc smakuje najlepiej. Kiedy w pierwszej klasie szkoły podstawowej nauczyciel skonfiskował mi kasetę Metalliki, tym chętniej chciałem jej słuchać (śmiech).

- Uwielbiam Metallicę, „Czarny Album" do dziś jest jedną z moich ulubionych płyt! Jednak uważam, że relacja rodzica z dzieckiem powinna polegać na ograniczonym zaufaniu - daję wolność, ale wytyczam jej granice. Nie wyobrażam sobie sytuacji, w której moje dziecko robi co chce, a ja nie mam żadnego wpływu na jego zachowanie i wychowanie. Chcę uczestniczyć w jego życiu, chcę być z nim „na bieżąco". Sądzę, że bardzo ważne jest, abyśmy jako rodzice od początku kierowali swoje pociechy w dobrą stronę. Dlatego w Pro Sinfonice nie uciekamy od muzyki rozrywkowej, bo to nie ma żadnego sensu. W tym roku organizujemy np. wydarzenie łączące muzykę klasyczną z hip-hopem...

Taka symbioza jest trudna do osiągnięcia?

- Naprawdę trudno mi powiedzieć, jak to wyjdzie. Jednak myślę, że ideę hip-hopu, muzyki wyrosłej z kultury ulicznej, także warto zaprezentować. Proszę zauważyć, że melodeklamacja to nic innego jak to, co już w 1607 roku zaproponował włoski kompozytor Claudio Monteverdi.

Można powiedzieć, że jego recitar cantando zapoczątkowało hip-hop? (śmiech)

- W pewnym sensie Monteverdi był jednym z pionierów tego rodzaju przekazu. Poza tym, warto wsłuchać się też w muzykę Jana Sebastiana Bacha, ponieważ jest ona inspiracją dla współczesnych twórców - także muzyki rozrywkowej.

Rozmawiał: Sebastian Gabryel
Zdjęcia: Mariusz Forecki

Cały wywiad na kulturaupodstaw.pl

wielkopolska.
kultura u podstaw

Koncepcja dodatku/redaktor prowadzący: Iwona Torbicka
Autorzy: Andrzej Jazdon (gościnnie), Daina Kolbuszewska,
Sebastian Gabryel, Adam Olaf Gibowski.
Zdjęcia: Mariusz Forecki
Projekt okładki i grafika: Dariusz Krupa
Wydawca: Urząd Marszałkowski Województwa Wielkopolskiego
/Departament Kultury
Skład: Beata Derkacz/Głos Wielkopolski
Druk: Polska Press Sp. z o.o

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA
WIELKOPOLSKIEGO